

SAM NA SCENIE

Gazeta Festiwalowa

*Turnieju Teatrów Jednego Aktora 64. Ogólnopolskiego
Konkursu Recytatorskiego*

Numer 2/2

Słupsk, 2019

ISSN 0265-7821



9 770265 782713

Bartłomiej Jaskulski „Tu nie jest tak źle”

na podstawie wspomnień Jerzego Skrzypka
scenariusz i reżyseria Arkadiusz Jaskulski

Holokaust. Temat tak często poruszany, ale w dalszym ciągu niewyczerpany. Polscy, a także międzynarodowi twórcy, inspirowani się nim, pragną o nim mówić i pozwalają historii być żywą. Poruszamy się w tej materii i szukamy prawdy. Prawdy o naszej historii, rodzinach i wydarzeniach, które budują naszą tożsamość narodową.

Inspiracją Bartka były wspomnienia Jerzego Skrzypka - byłego więźnia obozu. Przyznam się, że próbowałam odszukać źródło. Niestety udało mi się odnaleźć tylko kilka nagrań. Przedstawiały starszego pana, relacjonującego wydarzenia z najgorszego okresu jego życia. Poczułam żal, a potem przyjemne ciepło, że Ci ludzie nie zostali zapomniani i dalej są inspiracją dla młodych artystów, takich jak Bartek. W formie wspomnień przedstawiony jest też spektakl. Poruszające w tym wykonaniu są właśnie te autentyczne retrospekcje. Sytuacje dające poznać codzienność w samym centrum piekła. Uderza nas ogrom przemocy i bólu, który był normalnością więźniów. Próbuje się utożsamić z bohaterem i go zrozumieć. Niestety możemy tylko próbować...

Aktor wyłania się z ciemności, z szacunkiem pozbywa się okrycia i zabiera nas w podróż w czasie. Niezwykle ciekawe zastosowanie kostiumu, jako wejście w rolę. Pięknie buduje przestrzeń wokół siebie i konsekwentnie ją wypełnia. To jak się prezentuje jest uzasadnione i zrealizowane adekwatnie do tematu, co nadaje historii dużo naturalności.

„I ten spokój” cytat, który zdecydowanie odzwierciedla całe wystąpienie. Bartek jest na scenie bardzo stonowany, miałam wrażenie, że brakuje mu trochę śmiałości. Widać, że czuje więź z historią i bohaterem, to jest ogromny plus. Ten spektakl jest dla niego i on jest dla spektaklu. Przeżywa go całym sobą i to jest niezwykle inspirujące. Historia poruszająca, ale ze względu na treść, a nie formę. Chciałabym, żeby tę więź pozwolił zbudować też nam - widzom. On ma te emocje w sobie, powinien się więc nimi podzielić z nami.

Bartek porusza na scenie temat mocny. Bardzo trudno jest opowiedzieć tak ważną historię w tak krótkim czasie. Sam podjął się tego wyzwania i sam mierzy się z nim na scenie. Dlatego należą się wyrazy uznania za samo podjęcie tematu. Mam nadzieję, że będzie kontynuował pracę nad monodramem i poruszy nas kiedyś równie mocno, jak sam poruszony jest na scenie.

Julia Byrzykowska



fot. Cezary Suwała

Aleksandra Łazarska „Nie dla żartu”

scenariusz autorski

reżyseria Jolanta Hinc-Mackiewicz

Nie można sobie chyba wyobrazić lepszej publiczności dla monodramu Aleksandry Łazarskiej niż ta, którą gromadzi festiwal Sam na scenie. Trudno także nie zauważyć, że historia prezentowana przez młodą aktorkę wyjątkowo „przystaje” do widowni. Opowieść o rozwoju osobowości twórczej, nadwrażliwej, skupionej na własnym wnętrzu. Zarazem kompulsywnie poszukującej uzewnętrznienia, akceptacji i miłości. Pewnie przynajmniej kilku z uczestników finału może odnaleźć siebie w tym opisie.

Jednak trafny wybór tematu to dopiero początek drogi do dobrego spektaklu. Następnie należałoby zdecydować się na właściwy asortyment środków artystycznych, form wyrazu, konwencji *etc.* Z nieznanym mi powodów twórczyni monodramu „Nie dla żartu” zdecydowały się użyć ich... wszystkich.

Sam pomysł łączenia wielorakich technik scenicznych jest zapewne ambitny i przyświeca mu niechybnie szlachetny cel. Problem pojawia się jednak, gdy nie można w żaden sposób ilości przełożyć na jakość. Osobiście męczyłem się patrząc, jak młodzietka aktorka miota się po scenie, a może raczej jest miotana, za pomocą chaotycznego scenariusza, który każe jej tańczyć, śpiewać, przebierać się, zabawiać publiczność lub być przybocznym rekwizytem do multimedialów, użytych w sobie tylko wiadomym celu.

Nie mam w tym miejscu żadnych specjalnych pretensji do Aleksandry Łazarskiej bowiem jest ona, w mojej opinii, bodajże jedynym dobrym aspektem tego przedstawienia. Jasne, że trzeba wspomnieć o dość uciążliwym problemie artykulacyjnym oraz widocznym braku doświadczenia. Są to jednak braki, powiedzmy sobie, dość naturalne dla początkujących aktorek i zazwyczaj przechodzą wraz z kilkuletnią pracą. Najważniejsze, że widać w niej ogromną chęć do gry i duży potencjał emocjonalny. Bardzo naturalnie czuje się w dynamicznych partiach monodramu, a jej taniec, i generalnie ruch jest bardzo dobry.

Niestety monodram to sztuka, która nie wybacza błędów i w sytuacji, gdzie pojawia się ich zbyt wiele scena zaczyna dominować nad aktorką, która schodzi na plan drugi, przytłoczona masą „przeszkadzajek”, zastępujących spektakl.

Nie mam żadnych wątpliwości, że Aleksandra Łazarska pojawiła się na scenie bynajmniej nie dla żartu. Niestety nie potrafię odpowiedzieć na pytanie – po co w takim razie?

Maciej Swornowski



fot. Oliwia Żołnierczyk

Monika Weronika Mikołajczak „Jingle Mejdele”

na podstawie powieści Wojciecha Dutki „Czerń i purpura”
reżyseria Aneta Ćwieluch

„Jeśli Bóg istnieje będzie musiał błagać mnie o wybaczenie”. Wszyscy chyba znamy ten napis wydrapany przez więźnia w ścianie jednego z baraków KL Auschwitz-Birkenau. Doświadczenie Zagłady jest dla nas, szczęśliwców, których ona bezpośrednio nie dotknęła, czymś niepojętym. Słuszny jest pogląd, że Holocaust jest kluczowym wydarzeniem w dziejach kultury europejskiej. Podzielił on historię na epokę przed i po Auschwitz. Filozofowie, historycy, pisarze, artyści, czy wreszcie zwykli ludzie - wszyscy szukali i cały czas starają się znaleźć odpowiedź na pytanie, jak do tego doszło. Mimo upływu siedemdziesięciu czterech lat od zakończenia II wojny światowej najczarniejsza karta w historii ludzkości zaprzęta umysły i prowokuje twórców do działania.

Nie inaczej było w przypadku Moniki Weroniki Mikołajczak, bo to o jej spektaklu „Jingle-Mejdele”, a właściwie pod jego wpływem, piszę te słowa. Przyznam szczerze, że jestem całkowicie urzeczony aktorką, ale niestety nie przedstawieniem. Spektakl był dobrze prowadzony, aż do czasu, gdy bohaterka trafiła do obozu. Światło wyznaczało kolejne przestrzenie i sytuacje, Monika opowiadała interesująco, momentami dowcipnie i co najważniejsze wiarygodnie. Na podkreślenie zasługuje bardzo dobrze, gustownie i ze smakiem zrealizowana (i zaśpiewana!) scena występu w klubie. Jednak wraz z rozwojem historii reżyseria zaczęła kuleć, a w opowieść wkradł się wróg teatru - niczym nieuzasadniony formalizm.

Mimo pojawiającej się tautologii w ruchu, niepotrzebnego koncertu świateł, blackoutu, niezbyt dobrej gry z nieistniejącymi przedmiotami, będę bronił tego spektaklu. Dlaczego? Ponieważ dałem się uwieść granej przez aktorkę historii. Uwierzyłem w to, że w odmęcie piekieł jest miejsce na miłość. Niemożliwe, absurdalne uczucie łączące ofiarę i kata, syndrom sztokholmski w najczystszej postaci, niespodziewanie ukazało się w mojej wyobraźni dzięki Monice i, co tu dużo mówić, poruszyło mnie. Nie obchodzi mnie to, czy jest to zbyt sentymentalne, czy za clikliwe. Być może, ale nawet teraz, kiedy o tym piszę, czuję ścisnięcie w gardle, bo uświadomiłem sobie jak wielką, niewyrażalną wręcz potrzebę jakiegokolwiek pozytywnego uczucia, czułości, dotyku, uśmiechu – elementów, które składają się na naszą codzienność – musieli mieć więźniowie obozów koncentracyjnych, dla których najpodlejsza śmierć była powszedniejsza niż dla nas ubieranie butów.

Moniko, mam niedosyt, ponieważ „Jingle-Mejdele” to mógł być rewelacyjny spektakl, ale za zafundowanie mi potężnej dawki uczuć i rzucenie świeżego światła na miłość i zagładę, z głębi mojego wzruszonego serca - dziękuję.

Michał Studziński



fot. Amelia Pancek

Viktoria Szopińska „Popatrz na Lusię”

na podstawie powieści Gro Dahle, Svein Nyhus „Grzeczna” w tłumaczeniu H. Garczyńskiej
reżyseria Grzegorz Szlanga

W amatorskim ruchu teatralnym, moim zdaniem, chodzi między innymi o to, żeby mówić o tym, co dla nas ważne, co porusza naszą wrażliwość – wtedy pojawia się prawda, o którą postulowałem w jednej z wczorajszych recenzji. Dzisiaj tę prawdę otrzymałem, a z nią wzruszenie i refleksję.

Zacznę od siebie, bo w końcu o kim pisać opisując czyjś spektakl, jeśli nie o sobie. Przez chwilę uczyłem dzieci technik szybkiego uczenia się. W grupie miałem 5 chłopców z 5 klasy podstawówki. Tylko dla jednego z nich moje zajęcia były jedynymi zajęciami pozalekcyjnymi. Reszta pracowała w kombinacie: szkoła, tenis, angielski, pływanie, piłka – i co sobie tylko wymarzysz. Nie wszyscy robili to z własnej potrzeby i przekonania. Kiedy Viktoria w czasie spektaklu spojrzała mi prosto w oczy i zapytała – tato, czy ja jestem twoim słoneczkiem, przeszedł mnie dreszcz. To było przejmujące i wzruszające, zwłaszcza po scenie, w której baletnica poszukuje światła, wyobrażającego wzrok jej matki. A ono uporczywie ucieka.

Tak jak jestem teoretykiem wysiłku fizycznego, tak samo nie mam pojęcia o wychowywaniu dzieci, ale spektakl Viktorii Szopińskiej miał kilka znaczeń – opowiadał o osamotnieniu dziecka, o samotności w tłumie, o poszukiwaniu tożsamości, o rytuale przejścia, o skandalicznym poziomie opieki psychologicznej w Polsce, o indywidualności i chyba o każdym z nas po trochu.

Nie będę ukrywał, że jestem tym spektaklem zachwycony, że niesłuchanie podoba mi się Viktoria na scenie – dobra, czytelna dykcja, świetna emisja, plastyka ruchu (zazdroszczę przynajmniej podwójnie, bo sam nigdy nie miałem), a nade wszystko prawda – widać, że mówi o tym, co ją autentycznie dotyka. Jest studentką psychologii i można dostrzec jej ogromną wrażliwość na drugiego człowieka.

Nie byłbym sobą, gdybym nie włożył łyżki dziegciu w beczkę miodu. Mam trochę żal za niekonsekwencję w budowaniu postaci. Oczywiście, cieszę się, że aktorka i reżyser spektaklu – Grzegorz Szlanga, nie wątpię w inteligencję widza i nie zaznaczają wielkim, pulsującym wykrzyknikiem miejsca przejścia między postacią, a prywatnym byciem, ale może jakieś subtelne zaznaczenie ułatwiłoby orientację w dramaturgii. I zupełnie nie przeszkadza mi dydaktyzm spektaklu. To ważny problem i należy o nim mówić, skoro troszczymy się, żeby nie mieć zawału, może czas najwyższy zatroszczyć się też o kondycję psychiczną. Poza tym, parafrazując Jana Wołkę – świat bardzo się zmienia, gdy z młodych gniewnych powstaną starzy w.....i.

Gustaw Puchała



fot. Oliwia Żołnierczyk

Faustyna Słonka „Księga nieżywków”

według tekstu „Zgubiono znaleziono” Brooke Davies
scenariusz, scenografia, reżyseria Anna Maśka

Słodka i uśmiechnięta Faustyna na deskach Teatru Rondo nie sama, ale w towarzystwie papierowej kruższyny Milli, otwiera przed widzami katalog śmierci małych i dużych. Tych z pozoru niewinnych i tych, znaczących, bardzo dotkliwych, o których pamiętamy przez całe życie. Idziemy z nią, ramię w ramię, przyglądając się drobnym momentom, które szybko stają się kluczem w poszukiwaniu odpowiedzi.

Świat, który buduje młoda artystka przy pomocy gazet, kartonu i płachty dosłownie rodzi się na naszych oczach. Obraz przemawia - i to jak! Mieliśmy zaszczyt doświadczyć przepięknie płynącej historii, spójnej scenograficznie, muzycznie i ruchowo. Całość jest uszyta w jednym stylu, takim bajkowym klimacie, który trochę zdejmuje z widza ciężar poruszanego tematu. A temat dotyczy wszystkich.

Przemijanie, opowiedziane z perspektywy dziecka, dla nas - dorosłych. Tak prosto, dosadnie w sam środek serca. Problematyka spektaklu niemal natychmiast zaczyna dyskusję o tym, jak zmieniło się postrzeganie śmierci. Dziś, gdy martwe ciało zabierane jest najszybciej jak się da, gdy umiera się w obcych, szpitalnych pomieszczeniach, czasem bez obecności bliskich, jak gdyby w ukryciu - trzeba pytać czy rzeczywiście tak powinno to wyglądać? Bo przecież „wszyscy wiedzą wszystko o byciu żywym, ale nikt nie wie nic o byciu martwym”. Tak więc mamy dwie tajemnice życia, poruszone ponad podziałami. W moim skromnym odczuciu można czerpać ze spektaklu pełnymi garściami, bo chyba, mimo upływu lat, gdzieś w środku, siedzi w nas taka mała papierowa laleczka. Czasem odważna, pewna siebie... czasem przerażona i porzucona.

Monodram skłania do refleksji, ale co cieszy mnie najbardziej, daje światełko nadziei, że nie każda tragedia musi skończyć się źle. Dzięki aktorce, uwierzyłam, że się da i w każdej sytuacji może stać się coś zupełnie nieoczekiwanego.

Faustyno, wyrazy szacunku za „kontakt” z rekwizytem, wciągającą narrację i miłość płynącą z Twoich oczu wprost do Milli. Dobrze patrzy się na waszą sceniczną relację. Mimo to nie ukrywam, że warto przepracować kolejne 10 tysięcy godzin wraz z Twoją przyjaciółką, bo im więcej włożysz wysiłku w doskonalenie warsztatu lalkarskiego, tym bardziej uda ci się wyrazić siebie.

Mogłabym pisać i pisać - tymczasem gaśnie światło, zamykając końcową scenę Księgi nieżywków, a ja krzyczę - jeszcze, jeszcze, jeszcze!

Michalina Filimoniak



fot. Amelia Pancek

Julia Kmicik „Antygona w Nowym Jorku”

na podstawie dramatu Janusza Głowackiego
reżyseria Julia Kmicik, Roman Krzywotulski

Zaiste greckim heroizmem wykazała się Julia Kmicik w swoim monodramie. Bohaterowie klasycznych tragedii podejmowali decyzje, które z góry skazane były na niepowodzenie. W sytuacjach bez wyjścia przyjmowali odważnie swój tragiczny los, mając pełną świadomość, bycia bezwolną marionetką w rękach potężnych sił, targających ich życiem aż do fatalnego końca. Jest to zapewne koncepcja trudna do zrozumienia dla człowieka współczesnego, przekonanego do popkulturowej koncepcji słuszných wyborów i szczęśliwych zakończeń. Zaryzykowałbym nawet stwierdzenie, że jest to teza niemożliwa do przyjęcia.

Okazuje się jednak, że jest jeden prosty sposób, aby przekazać to traumatyczne doświadczenie. Wystarczy, w czerwcowym upale, założyć na siebie cztery wełniane (miejmy nadzieję, że nie kaszmirowe) swetry, wyjść na scenę i dać się opiekać przez światła reflektorów. Chyba nie skłamię, jeśli stwierdzę, że nie byłem jedynym widzem, który przeżył razem z aktorką katharsis aż 3 razy. Po razie na każdą partię odzieży, zdzieraną z jej ciała.

Ciała kierowanego przez, bez wątpienia, bardzo ciekawą osobowość sceniczną. Julia świetnie czuje się na deskach teatru. Wyraźnie jest to miejsce dla niej. Panuje nad przestrzenią, czuć pewność w jej ruchach. Ogromną zaletą aktorki jest wyraźny, dobrze wyemitowany głos. Dodatkowo ma naturalną zdolność do niewymuszonego komizmu. Widać, że łatwo odnalazła się w roli, nawet tak krańcowo odległej od jej oryginalnej fizjonomii, jak czterdziestoletnia, bezdomna kobieta.

Samo przedstawienie jest skonstruowane wyjątkowo poprawnie. Wybór wątku z dramatu Janusza Głowackiego został dokonany bardzo dobrze. Fabuła skonstruowana jest naturalnie i ma własną logikę, która rozpoczyna się, rozwija i kończy w sposób bardzo płynny i spójny ze sobą.

Z tym jednym jednak zastrzeżeniem, że spektakl kończy się, w mojej opinii, chyba trochę zbyt wcześnie. W rezultacie widzowie otrzymują bardzo dobrą i świetnie zagraną, ale prawdopodobnie raczej etiudę aktorską, a nie pełnoprawny spektakl.

Maciej Swornowski



fot. Cezary Suwała

Agnieszka Rajda „Pływak”

na podstawie tekstu Zsuzy Bánk pod tym samym tytułem
scenariusz i reżyseria Grażyna Tabor

„Pływak” to opowieść o opuszczeniu, tęsknocie, ciągłej wędrówce, siostrzanej miłości i oczekiwaniu. Opowieść z o życiu w trudnych realiach Węgier z okresu rewolucji 1956 roku. To również tytuł debiutanckiej powieści Zsuzsy Bánk, niemieckiej pisarki węgierskiego pochodzenia, której rodzice opuścili ojczyznę w tym tragicznym roku.

Agnieszka Rajda z Raciborskiego Centrum Kultury wciela się w Katy, dziewczynkę, której matka, bez słowa pożegnania, opuściła dom rodzinny i uciekła na Zachód. Wraz z ojcem i bratem Istim przemierza węgierską prowincję, jednak nigdzie nie jest w stanie na dłużej zagrzać miejsca.

Scenariusz monodramu koncentruje się na ukazaniu uczucia porzucenia, wzajemnej troski i nie zawsze ciepłych relacjach rodzeństwa z ojcem, który na swój własny sposób próbuje uporać się z odejściem żony i matki swoich dzieci. Isti poświęca całą swoją uwagę nauce pływania. Jest w tym coraz lepszy, a ciągle potrzeba mierzenia się z żywiołem wody staje się zależkiem tragicznych wydarzeń.

I właśnie przedstawienie tego tragizmu stanowi dla Agnieszki Rajdy największe wyzwanie, któremu podołała bezbłędnie. Swą rozpaczą wręcz oblewa widzów, którzy w ciszy i maksymalnym skupieniu kierują swój wzrok na jej niepozorną postać, krzesło i metalowe wiadro z wodą. Jej opowieść o nieustannej podróży, o dorastaniu w trudnych realiach, o codziennych błahostkach i poważnych dramatach jest niezwykle wiarygodna. Każda część jej ciała reaguje na scenie dokładnie tak, jak oczekuje tego widz, co doskonale obrazuje, jak świetną, a jednocześnie żmudną pracę wykonała ta młoda aktorka wraz z reżyserką.

Zobaczenie „Pływaka” było doświadczeniem naprawdę przejmującym i jestem niezwykle zadowolony, że dane mi było je przeżyć. Przed Agnieszką z pewnością jeszcze wiele przygód ze sceną i teatrem, a z roli Katy powinna być naprawdę dumna.

Krzysztof Przygoda



fot. Krzysztof Piotrkowski

Czarne książeczki z Hamletem

Symboliczna postać Hamleta jest znakiem firmowym serii wydawniczej poświęconej ruchowi teatrów jednego aktora. Nie tylko dlatego, że był sam na scenie w wielkim monologu, ale dlatego, że ponad 60 lat towarzyszył Wrocławskim Spotkaniom Teatrów Jednego Aktora.

Z wydanych już 17 Czarnych Książeczek z Hamletem i ich okładek Hamlet zamiast czaszki błazna Yorika trzyma w prawej dłoni głowy wybitnych artystów monodramu.

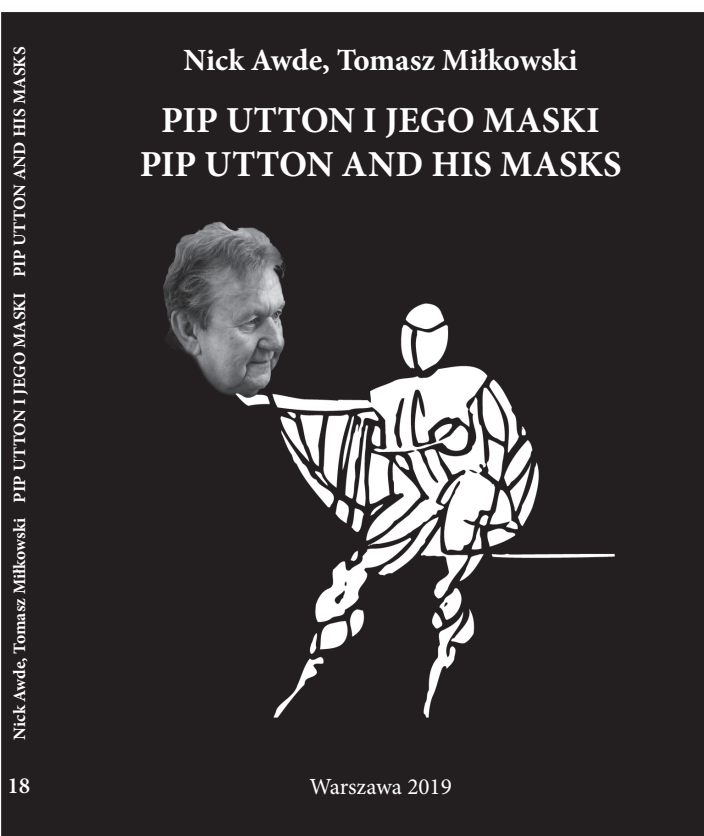
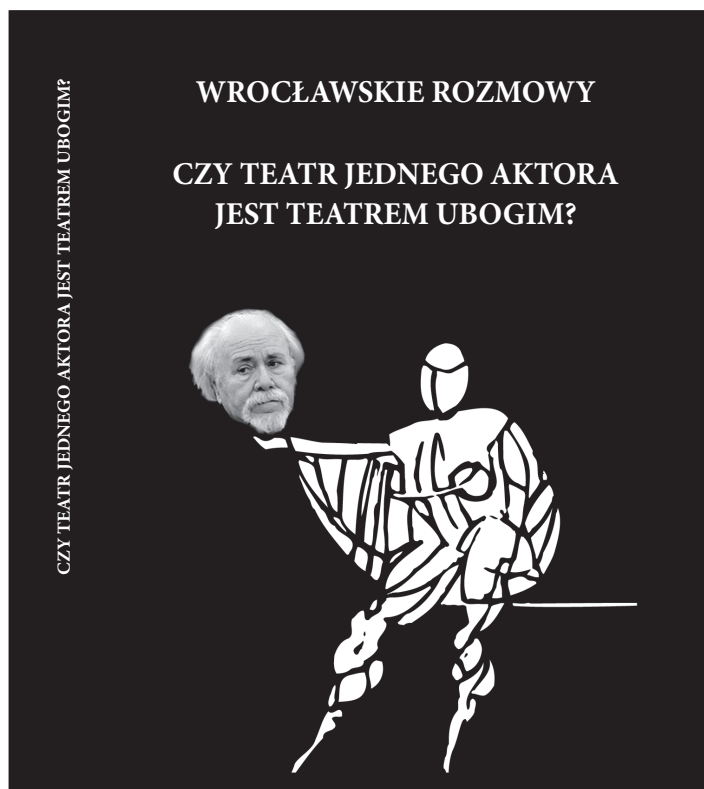
Serię zapoczątkował esej Andrzeja Żurowskiego o monodramie szekspirowskim, przygotowany na sesję naukową 41. WROSTJA, który znacznie się rozrósł i został wydany w formie książeczki pod tytułem: „Sam z Szekspirem na scenie”. Następnie

wydano opracowanie Krzysztofa Kucharskiego „Burzyński na tropach teatru jednego aktora. W poszukiwaniu definicji”, pokazujący ruch z perspektywy krytyka i recenzenta Spotkań - Tadeusza Burzyńskiego.

Kolejne tomiki zostały poświęcone wybitnym monodramistom protoplastom teatru jednego aktora w Polsce: „Teatr Siemion”, „Teatr jednego aktora Danuty Michałowskiej”, „Szukanie monologu. O teatrze Ireny Jun”, „Wypowiedzieć człowieka. Poezjoteatr Tadeusza Malaka”, „Zakochany pielgrzym. Samogry Bogusława Kierca”, „Sam był teatrem. O sztuce monodramu Tadeusza Łomnickiego”, „Wędrowanie...Jednoosobowy teatr Wiesława Komasy”, „Szekspir? Jaki Szekspir! Monodramy Piotra Kondrata”.

Kilka kolejnych książeczek poświęcono niezwykłym aktorom ze świata: „Birute Mar. Bez maski”, „Milka Zimkova. Aktorka Słowacka”, „Łarysa Kadyrowa. Szczęśliwa samotność aktorki”, „Lidia Danylczyk droga ku sobie”.

Dopełnieniem cyklu serii są publikacje:



„Wrocławskie rozmowy: czy teatr jednego aktora jest teatrem ubogim?”, opisująca 45-letni ruch teatru jednoosobowego piórem teatrologów, twórców teatralnych, krytyków, widzów i animatorów tego ruchu. Publikacja została stworzona przez 60 autorów, także z zagranicy, z Ludwikiem Flaszenem na czele.

Bardzo ważną pozycją jest przewodnik po teatrze jednego aktora Tomasza Miłkowskiego „166 monodramów”. Autor oprowadza po półwieczu teatru jednego aktora w Polsce. Przypomina nie tylko polskie spektakle, ale i pokazywane w Polsce spektakle zagraniczne, przede wszystkim podczas festiwali wrocławskich. Nie jest to przewodnik kompletny – to autorski wybór z większej całości, ale tak skomponowany, aby ukazywał mieniący się wieloma barwami teatr jednego aktora.

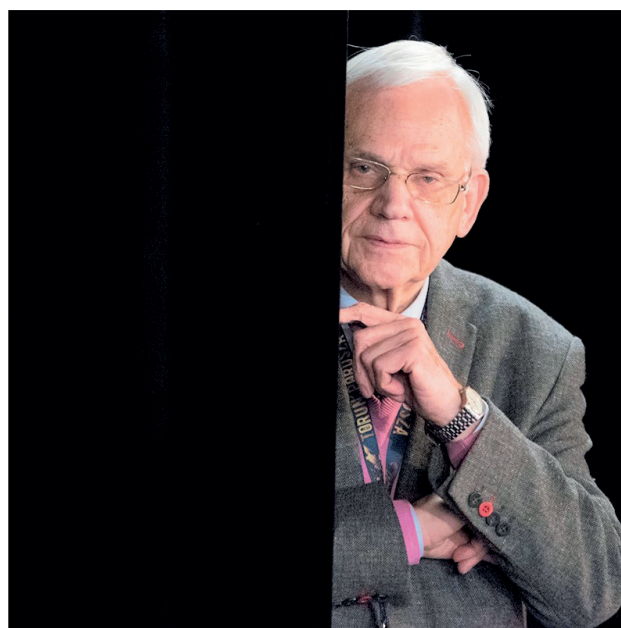
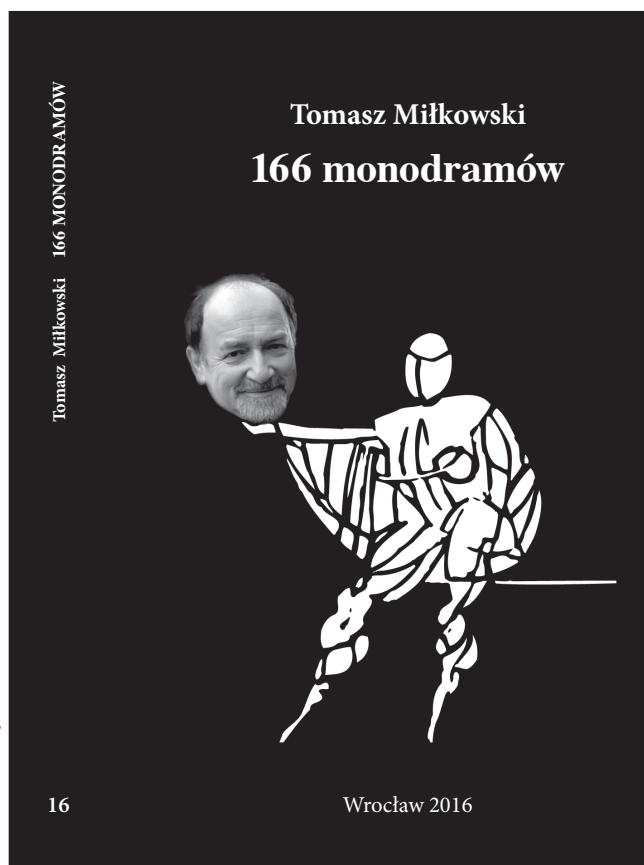
Na uwagę zasługuje tom „Scenariusze szekspirowskie” to ostatnia przygotowana za życia przez Andrzeja Żurowskiego książka, poprzedzona wstępem autora, zawierającym propozycje monodramów szekspirowskich.

Podczas 34. Toruńskich Spotkań Teatrów Jednego Aktora (22-24. 11.2019) odbędzie się promocja kolejnego 18 tomu serii „Pip Utton i jego maski” Nicke Awde i Tomasza Miłkowskiego. Jest to portret wybitnego angielskiego mistrza monodramu Pipa Uttona, na który składa się obszerna rozmowa z aktorem i szkic o jego twórczości monodramatycznej. Rozmowę z artystą przeprowadził brytyjski krytyk Nick Awde, skupiając uwagę na jego rodowodzie społecznym i artystycznym. Rozmówca oddaje też głos artyście, który przedstawia autoanalizy monodramów, będących w jego repertuarze. Wizerunek aktora dopełnia szkic Tomasza Miłkowskiego, który krytyczne analizy najważniejszych spektakli aktora łączy z syntezą jego unikatowej osobowości artystycznej. Książka będzie opublikowana w wersji dwujęzycznej (po polsku i po angielsku).

Serię Czarnych książeczek z Hamletem wydawało Wrocławskie Towarzystwo Przyjaciół Teatru organizator od 1966 roku Wrocławskich Spotkań Teatrów Jednego Aktora.

Podczas słupskich Turniejów Teatrów Jednego Aktora „Sam na scenie” laureaci otrzymują kolejne książeczki z tej serii.

Wiesław Geras



Omówiono

Bartłomiej Jaskulski „Tu nie jest tak źle”

„Masz fajne predyspozycje do bycia na scenie” Przemysław Bluszczyk

„Za dużo podpórek, które nie są ci potrzebne” PB

„Bombki nie z tej bajki” PB

„Masz siłę w sobie” PB

„Zrobiło się inscenizacyjnie i to przeszkodziło” Małgorzata Paszkier-Wojcieszonek

„Mało było nadziei” MPW

„Niezwykłe mi wszyscy imponujecie” Bernadetta Żynis

„Podobało mi się twoje wejście i podobał mi się twój głos” BŻ

„Gesty były sobie, rekwizyty były sobie” BŻ

„Robi się karykatura” PB

„Sztuka polega na kontrapunkcie” PB

„Pan wkracza w tautologię” Jan Zdziarski

„Jak ma się działanie pana do tekstu” JZ

„Nie można sobie tak igrać z czasem, bez konsekwencji” PB

„Teatr w teatrze” JZ

Aleksandra Łazarska „Nie dla żartu”

„Wygładasz zupełnie inaczej na scenie” MPW

„Radość z bycia na scenie” MPW

„Ty nas niesiesz, bo ty jesteś taka” MPW

„Świetnie się ruszasz” MPW

„Działanie przykryło tekst” JZ

„Jednym z najpiękniejszych obrazów był moment kiedy założyłaś czerwoną kieckę” JZ

„Jestem fanem twoim” PB

„Zabrakło mi czystości” PB

„Nie możemy budować swojego życia tylko na tym czy kocha czy nie kocha” BŻ

„Czasami mówisz o czymś strasznym, a się uśmiechasz” BŻ

Monika Mikołajczyk „Jingle-Mejdele”

„Umiesz opowiadać i przyciągasz uwagę” JZ

„Niech to się skupi na mojej emocji” JZ

„Jest prawda w tym” JZ

„Miałam estetyczną przyjemność oglądając ciebie” BŻ

„To jest sztuka” BŻ

„Clue jest love story w obozie” PB

„Najsłabszym momentem jest puenta” JZ

„Zaufać prostocie wypowiedzi” PB

„Zachęcam spróbować przed kamerą” PB

Wiktoria Szopińska „Popatrz na Lusię”

„Przedstawienie dwa w jednym” JZ

„Świetnie zrobiony kawałek filmu” JZ

„To co improwizowane powinno być najdokładniej przygotowane” JZ

„Żałuję tej drugiej części” JZ

„Spektakl bardzo czytelny” MPW

„Z teatru przechodzimy do psychodramu” MPW

„Ważny spektakl” PB

„Fajna historia i trzymam kciuki za to” PB

Faustyna Słonka „Księga nieżywków”

„Jestem pełen podziwu dla trudu, który podjęłyście” PB

„Jest okej, chciałbym więcej” PB

„Podobała mi się gra rekwizytami” BŻ

„Ta lalka jest symbolem” BŻ

„Piękna forma, plastyczna” MPW

„Bardzo intymna historia” MPW

„Narracja trochę się ciągnęła” MPW

„Za prosto, za jednakowo” JZ

„Ta lalka wymaga jakiegoś stroju” JZ

„Dajcie się nam zastanowić” JZ

„Zaufać formie” PB

„Współżyjesz z lalką” JZ

„Ładnie zagrane” JZ

Julia Kmieciak „Antygona w Nowym Jorku”

„To jest taka trochę niekończąca się opowieść” JZ

„Ani nic w bohaterce się nie zmienia, ani ta historia nic nie przewala w świecie” JZ

„Podobałaś mi się na scenie” BŻ

„Byłaś za czysta” MPW

„Wszystko jest ustawione pod kamerę” PB

„Krótko w tekście, chciałam jeszcze” MPW

„Większą swobodę dla aktora stworzyłby karton” JZ

Agnieszka Rajda „Pływak”

„Ten tekst do mnie nie trafił” PB

„Nie zabrałem się w tę podróż” PB

„Masz warsztat i umiejętności, jesteś interesująca” PB

„Jedno nieszczęście, drugie nieszczęście i tak nieszczęście za nieszczęściem” BŻ

„Wiodącym tematem jest brat” JZ

„Ojciec wprowadza w przestrzeń wody, przestrzeń śmierci” JZ

„Zastanowiłbym się nad wyborem rekwizytów” JZ

„Tekst chwilami zaczyna nużyć” MPW

„Można byłoby tam w pewnym momencie skończyć” MPW

„Podobała mi się scena z kamieniami gdy wyznaczasz rytm” MPW

„Przed wszystkim bym troszkę skróciła” MPW

„Coś się zapowiada, zapowiada, ale nie dostajesz tego” PB

„Estetycznie milion razy bardziej wolę ten język bo to jest szlachetne” PB

„Doceniam estetycznie tę wypowiedź” PB

„Mnożenie bytów w takiej jednoosobowej opowieści utrudnia” JZ

„W gąszczu słów gubi się napięcie” PB

Spisały: Julia Byrzykowska i Michalina Filimoniak

Przemysław Bluszcz „Samospalenie”

scenariusz i reżyseria Krzysztof Szekalski



fot. materiały twórców

Patronat i wsparcie finansowe

**Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.**

Patronat Honorowy



**MINISTER
EDUKACJI
NARODOWEJ**



MIECZYSLAW STRUK
MARSZAŁEK
WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO

Honorowy Gospodarz



**Prezydentka Miasta Słupska
Krystyna
Danilecka-Wojewódzka**

Wydawca

Słupski Ośrodek Kultury, Słupskie Towarzystwo Kultury
Teatralnej Teatr Rondo
ul. M. Niedziałkowskiego 5a, 76-200 Słupsk
rondo@sok.slupsk.pl

Redakcja

Redaktor naczelny: Maciej Swornowski
Redaktorzy: Julia Byrzykowska, Michalina Filimoniak, Joanna Jusaniec, Krzysztof Przygoda, Gustaw Puchała, Michał Studziński,
Fotoreporterzy: Martyna Fau, Maja Kalinowska, Aleksandra Kalista, Amelia Pancek, Krzysztof Piotrkowski, Weronika Stanisławska, Cezary Suwała, Oliwia Żołnierczyk
(opieka merytoryczna działu foto: Jadwiga Girsza-Zimna)

Organizatorzy



Współfinansowane ze środków i przy wsparciu rzeczowym



Partnerzy



Patroni medialni

